



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Felicja Borzyszkowska-Sękowska

Koszmary

Lufy karabinów skierowane wprost w serce mojego ojca. Stoi pokornie, pełen rezygnacji pod ścianą. Tylko echo niesie krzyk sześciorga rodzeństwa i ciche łkanie mojej matki. Miałam lat... cztery!
Ta scena wraca upiornie w nocnych koszmarach już ponad pół wieku.

* * *

Przyszła obcy pan, przyniósł prezent. Obszedł wraz z ojcem wszystkie pokoje (mama uciekła, co mnie bardzo dziwiło), zatrzymał się przed ojcowym biurkiem i zawyrokował: tu.

Ojciec gdzieś pobiegł. Wrócił z młotkiem i gwoździem w ręce. Obaj przybili go w starannie wybranym miejscu i powiesili nowy obraz. Pewnie nowa Bozia – pomyślałam pomnąc, iż postacie Jezusa i Maryi wiszą w sypialni. Ale ta „nowa Bozia” wyglądała zupełnie inaczej.

Wychowana w rygorze, że „dzieci i ryby głosu nie mają”, milczałam w kącie, a kiedy dziwny gość wyszedł, ojciec się rozluźnił, a mama wyszła z ukrycia, zapytałam kto to. Odpowiedzi nie było. Dociekliwa dziecina jednak nalegała dziwiąc się srodze, że ta „nowa Bozia” do żadnych polskich świętych podobna nie była. Był to bowiem mężczyzna, brunet z krótkimi włosami, zaczesany gładko na bok, a przede wszystkim miał małe, ale bardzo wyraźne, czarne wąsiki. O, ucieszyłam się, to teraz będziemy modlić się w gabinecie ojca, czyli będę tu mogła częściej przebywać, a byłam zafascynowana zawartością książek, których nie wolno mi było nawet dotykać. Dlaczego nie wolno mi się nimi bawić? Dlaczego? Przecież nie podreję tych książek, ani nie zaleję zupą. Co w nich jest? – pytałam żarliwie. – Tam jest... tam jest... – zamyślił się ojciec – tam jest... cały świat!

Cóż to jest ten cały świat, którego nie wolno mi nawet dotknąć?

Zacząłam nienawidzić faktu swojego dzieciństwa, modliłam się żarliwie, aby Bóg sprawił, żebym natychmiast stała się dorosła. Ale Bóg mnie nie wysłuchiwał i były to moje pierwsze podwaliny pod przyszły ateizm: Bóg jest nieczuły na nasze prośby, a przede wszystkim pozwolił na to okropieństwo wojny...

Do wieczornej modlitwy klękaliśmy jednak wszyscy przed (wówczas dla mnie największą pięknoscią) obrazami: Serce Jezusa i Serce Marii (które potem zostały zbeszczeszczone przez zwycięskie wojska). Dlaczego nie przed nowym Bożią? – dziwiłam się, ale milczałam, bo przecież „dzieci i ryby...”.

Za to kiedy miałam swoją szczególną prośbę do Bożi, dziś nie pomnę już o co chodziło, pewnie o to, by tata pozwolił mi dotknąć ten „cały świat” zawarty w książkach, które nie tylko on miał prawo brać do

ręki. Starsze rodzeństwo także. Cóż za niesprawiedliwość! Kiedyż, ach kiedyż podrosnę i będzie mi wolno?

Mając więc tę szczególną prośbę pomyślałam, iż modły moje będą lepiej i szybciej skutkowały, gdy pomodłę się pod „nową Bożą”. Tak też uczyniłam. Pochłonięta modlitwą nie słyszałam, gdy ktoś wszedł do pokoju. Poczułam tylko nagle, mocne szarpnięcie, stanęłam na równe nogi, matka popchnęła mnie w stronę wyjścia. Zupełnie nie rozumiałam o co chodzi. Potem dobiegały mnie tylko odgłosy rozmów. Mówiła nie tylko ojcu, ale i starszemu rodzeństwu, które śmiało się do rozpuku, czego nie można było powiedzieć o rodzicach. Strasznie nie znosiłam tych wiecznych tajemnic i nie wprowadzania mnie w świat jak to potem potrafiłam nazwać: konspiracji.

Czułam się osaczona, odizolowana, po prostu odrzucona. Tym bardziej Ignęłam do Bozi. Kiedyś znów sekretnie udałam się do biblioteki ojca, by śłać pienie pod wizerunkiem nowej Bozi. Jakież było moje zdumienie, gdy skonstatowałam, iż nowy Bóg znikł. Będąc srodze zawiedziona patrzyłam tylko na gwóźdź sterzący ze ściany, tak samo jak gwóźdź przybijający mego ukochanego Jezuska do krzyża. Nie pobiegłam jednak do mamy ni taty pomnąc jak byli zbulwersowani faktem mego skupienia się pod portretem przyniesionym i zawieszonym przez obcego pana. Zamykałam swe rozczarowanie jeszcze głębiej w zakamarkach swej dziecinniej duszy.

Kiedyś jednak, przy sprzątaniu znalazłam swego „nowego Bożię” za... piecem. – O Boże! – przecież on się spali, gdy tylko napalimy w piecu. – Teraz jest lato i w piecu się nie pali – ucięła matka krótko.

Zaczęłam się zastanawiać dlaczego ten brunet z wąsikami został tak potraktowany? I były to moje pierwsze załóżki odczuwania niesprawiedliwości. Bo dlaczego wszystkie Bozie nie są traktowane jednakowo?

Kiedyś znów odwiedził nas ów wysoki, przystojny, obcy pan, był w towarzystwie jeszcze dwóch osób. Zaraz po jego wyjściu zauważyłam, iż nowa Bozia znów wskoczyła na swoje miejsce. Aha! Ale co to? Natychmiast po ich wyjściu, portretu znów nie było na ścianie.

– Co jest? – zapytałam.

– Dziecino, to dla ciebie.

– Jak to dla mnie? Dla mnie kładziecie nową Bożię za piec?

– Tak, dla ciebie, ale nie za piec, tylko chwilowo na ścianę. Dla ciebie i całej naszej dziesięcioosobowej przecież rodziny. Kiedyś to zrozumiesz, teraz już więcej nie pytaj.

I znów byłam straszliwie dotknięta faktem swego dzieciństwa. Jestem za mała, za głupia, nie można mi nic powiedzieć, nie chcą ze mną rozmawiać. Ach, kiedyż to się skończy? A już miałam nadzieję, że ów nowy Bóg, brunet z wąsikami, zmieni moje życie, przyspieszy rozwój i doroslenie, a tu nic.

Kiedyś tę twarz zobaczyłam w gazecie. Chciałam sobie wyciąć, ale niedobrzy dorośli wyrwali mi brutalnie z rąk. Potem znów zobaczyłam nową Bożię, w którymś czasopiśmie, stał w mundurze, z wyciągniętą przed siebie prawą ręką, z otwartą dłonią, ale to na pewno był On, miał przecież takie same, zawsze krótkie włosy, zaczesane na jedną stronę i takie same czarne wąsiki. Ucieszyłam się, znów chciałam go wyciąć, ale tym razem starsi bracia potraktowali mnie bardzo brutalnie: za głupia jesteś! Jeszcze nieszczęście na nas sprowadzisz! Wynoś się z tymi gazetami, nie chcemy cię widzieć...

Plakałam długo. Jakże to trudno być najgłupszą w rodzinie, niegodną rozmowy i najmniejszych wyjaśnień. Dlaczego oni wszyscy mnie tak traktują. Ja nie chcę być dzieckiem! Jak trudno żyć wśród dorosłych. Poszukam sobie jeszcze jakąś nową Bożię, może mnie wysłucha i skróci moje dzieciństwo, a wraz z tym wszystkie moje udręki. Czy ja mogłabym sprowadzić na nasz dom nieszczęście? To przecież niemożliwe!

A jednak stało się faktem.

Wpierw, gdy doszło do dziecięcej główki, że „nowa Bozia”, to zły człowiek, a skoro zły to dlaczego ma wisieć na ścianie? Wskrobawszy się na biurko 4-latka zdjęła portret Hitlera akurat przed złowieszczą wizytą żandarmów...

A potem w najnieodpowiedniejszej chwili w miejscu publicznym owo dwujęzyczne dziecko mówiło głośno w języku... polskim. Ojca postawiono pod ścianę... Wielkie przerażenie sprawiło, iż przestała mówić w ogóle, ani po polsku, ani po niemiecku. Rozpacz była wielka zanim rodzina z wolną pogodziła się z faktem, iż dziecię stało się głuchonieme.

Pamiętam, jak sprawdzano czy słyszę. Uderzano w różne przedmioty, to głośno, to zupełnie cichutko. Wymawiano za plecami moje imię i czekano, jak zareaguję. Rozpacz rodziny potęgowała się. Tymczasem ja słyszałam to doskonale. Nie byłam głuchoniema. Byłam tylko niema. Lęk przed śmiercią ojca, przed zamordowaniem go, świadomość iż to z mojej winy – była nie do zniesienia. To ja chciałam umrzeć, to ja pragnęłam stanąć pod ścianą i pochłonąć wszystkie kule, które były skierowane i przeznaczony dla ojca.

Pierwsze słowa jakimi przemówiłam były...

Ale od początku. Wojska radzieckie zadomowiły się w naszych mieszkaniach. Zabierali wszystko, co nadawało się do jedzenia. Głodne rodzeństwo, mama i ja skupiliśmy się w kącie kuchni, patrząc jak gotują nasze ziemniaki, przekładając je zjełczałą słoniną.

Wreszcie mama zwróciła się do mnie (byłam nadal niemową, ale rozumiałam wszystko co mówiono do mnie w obu językach i chętnie wykonywałam wszystkie polecenia). – Idź dziecko do tego pana, weź łyżkę, na pewno ci coś da do zjedzenia. No, spróbuj! Nam nie da, ale tobie, maleńkiej – chyba nie odmówi. Ufnie podbiegłam do tawariszcza, zaglądam w garnki, a ten jak nie ryknie: Idzi do Gitlera! Gitler da ci pokuszać: masła, sadła, słoniny. Idzi do Gitlera, idzi... No, idzi do Gitlera! – A twarz przy tym krzywił okropnie. Wyglądał jak potwór z najczarniejszych bajek...

Odskokczyłam z lękiem. Wróciłam do mamy i postanowiłam już nigdy w życiu do niego nie podchodzić. Już nigdy więcej... Nawet na prośbę mamy, której przecież zawsze byłam posłuszna.

Słowa danego sobie w myślach (bo przecież byłam niemową) nie dotrymałam. Ból w dołku wzmagał się, jeszcze nie wiedziałam, że powoduje to uczucie głodu, niedokarmienie. Apetyt rósł, bo chociaż zjeżdżała słonina nie pachniała najpiękniej, to jednak jeść chciałam. Cokolwiek. Napędzana głodem, bez zezwolenia matki podbiegłam do tawariszcza. Myślałam, że dla rodzeństwa też coś przyniosę. A tu nagle ów tawariszcz, jak go nazywano, jak nie kopnie mnie w pupę, tak błyskawicznie, że znalazłam się ponownie w kącie kuchni, na podłodze. Ból był dotkliwy a kopnięciu towarzyszyły słowa: A job twoju mać!

Już zaczęłam sobie zdawać sprawę, iż język jakim posługują się ci panowie nie jest mową żadną z tych, które tak fatalnie pomyliłam owego dnia, ściągając przez to złość mundurowców i w konsekwencji postawienie ojca pod ścianą i wycelowanie luf w ojcowskie serce. Nasłuchując jednak nie stwierdziłam, aby tym językiem posługiwała się moja rodzina.

– Może więc tą mową można mówić bezkarnie – pomyślało przestraszone dziecko.

I wtedy stał się cud!

To permanentnie zestresowane, nie wiedzące absolutnie co się wokół niego dzieje, przy kim można mówić po polsku, wobec kogo posługiwać się językiem niemieckim, a z kim porozumiewać się tym nowym, jeszcze innym językiem, to zbite, skopane, znerwicowane i zdezorientowane dziecko ryknęło na cały głos: A, a, a, aaa JOB TWOJU MAĆ!!!

Kiedy spisywałam te wspomnienia doznałam szczególnych uczuć. Poza emocjonalnymi – co chyba normalne – po raz pierwszy w życiu przeżyłam doznania czysto fizjologiczne. Gęsią skórę na ciele miewałam już tysiące razy, ale zawsze wynikało to ze słuchania muzyki, poezji, zwłaszcza doskonalego recytowania pięknych strof, wówczas zmiany termiczne wskutek pogłębionych przeżyć również niejednokrotnie manifestowały się efektami na skórze. Tym razem jednak upalne lato usprawiedliwia mą nagość przy pisaniu. Zobaczyłam swe własne ciało, takim, jakim go nigdy dotąd nie widziałam, ani nie czułam. Mój obnażony, duży biust, zmalął wskutek odczuwanego chłodu, stał się nie tylko mniejszy i co za tym idzie jędrniejszy, ale pokryty wprost przerażająco wielkimi grudkami, coś podobnego do gęsiej skórki, ale jakby zupełnie nie to.. Dygotałam z zimna i po raz pierwszy mogłam najlepiej zaobserwować owe koszta emocjonalne, niesamowite zjawisko wyrażone fizjologicznie i morfologicznie na skórze... biustu.

Zdumiona przerwałam pisanie. Długo patrzyłam na te mini pagóreczki, a robiąc to chciałam odwrócić swą własną uwagę od opisywanych przeżyć, od owego a, a, aaa job twoju..., które bądź co bądź stało się pewnym, ogromnie szczęśliwym przełomem w moim życiu, aczkolwiek kiedy je manifestacyjnie, chociaż powodowana bólem wypowiedziałam, absolutnie nie zdawałam sobie sprawy z zagrożenia, które było wielkim pręgiem, pod którym stała ma zatroskana rodzina, mająca prawo domniemywać, iż będę już niemową na całe życie...

Lekarzy przecież nie było. Wymordowano także świątłych ludzi, którzy mogli znać chociaż elementy psychologii pedagogiki czy logopedii, aby przekonać przerażoną rodzinę, iż ma niemota być może – ma charakter incydentalny i przede wszystkim przejściowy, że wystarczy dziecię poddać psychoterapii, otoczyć miłością i codzienną troską, usunąć przyczyny przerażenia i zorganizować należyte warunki rozwoju i w takiej rodzinnej atmosferze, w poczuciu pełnego bezpieczeństwa i całkowitej akceptacji owo dziecko wróci do stanu normalnego i zacznie mówić. Wpierw z oporami, a potem coraz lepiej i być może – będzie się posługiwało swym ojcystym językiem w sposób zgoła literacki. Ale nic takiego nie nastąpiło.

Owe: „Job twoju...” narobiło wiele ambarasu. Cóż dziwnego, skoro i dziś, po ponad 50. latach nie umiem o tym myśleć bez szczególnych emocji, które to, jak opisałam, na gorąco rejestrując zmiany nawet fizjologiczne, jakie są w tej chwili moim nie tylko udziałem, ale przede wszystkim ogromnym zaskoczeniem. Zdziwiły mnie, pomimo że wiem, iż jestem nadwrażliwcem i doznaję głębszych przeżyć, co niestety – łączy się ze zwiększonymi kosztami emocjonalnymi i co za tym idzie, niestety, zdrowotnymi.

Skoro więc po pół wieku nie umiem o tym myśleć obojętnie i w końcu rozklejam się jak to dziecko z owych dni, głodnych, zimnych i przerażających swą wielką niewiadomą, brakiem adekwatnych do rzeczywistości wiadomości, z wielokrotnionym wysiłkiem odbudowy kraju to...

I tak nie mogę wrócić do momentu wykrzyczenia owego „job...”.

Dlaczego nie? Czyżbym uciekała, czyżby z zaświatów kłaniał się Freud ze swymi teoriami (tak dziś wypaczanymi zarówno przez zwolenników, uczniów, naśladowców jak i wrogów).

A może Wy, Szanowne Jury właśnie pomożecie nam odpowiadającym na Konkurs dokonać swoistego Katharsis, owego Oczyszczenia. Czyż muszę to tłumaczyć? Może poprzez pomoc w wyciągnięciu na wierzch naszych wielkich kompleksów, zarówno tych uświadomionych, jak i (głównie) nieświadomionych pomożecie nam w powrocie do jakby nowej cywilizacji, nowego życia, do egzystencji jakby oczyszczonej z wszystkiego, co hamowało nasz dotychczasowy rozwój, swobodne funkcjonowanie zarówno na niwie osobistej jak i rodzinnej, w życiu zawodowym i społecznym, a także, chociaż o tym nie chciałam pisać – politycznym. I ekonomicznym też! Bo głód doznawany w dzieciństwie musi odcisnąć się piętnem na całym dorosłym życiu. Widać to nie tylko w tym, iż na przykład miałam zahamowany wzrost i permanentne skłonności do jedzenia za zapas i robienia zapasów w domu.

Bogu dzięki, mam racjonalniejszy stosunek do tego niż niejedni moi rówieśnicy, być może dlatego, że miałam zaradniejszych rodziców, pracowitszą matkę, która nawet w donicze na kwiaty potrafiła hodować warzywa i zioła. A kiedy jako już 37-letnia matka musiała przestać karmić piersią mnie, 2-letnią dziewczynkę podstawiła pod... kozę. Natomiast ja obejmowawszy tę nową pierś zrazu czułam różnicę między matczyną a kozią, ale rychło, chyba podświadomie pojęłam, że tylko to może uratować mnie przed śmiercią głodową i podobno zręcznie manipulując tymi nowymi dla mnie cyckami wydobywałam z kozy co najsmaczniejsze i najwartościowsze.

Przepraszam Jury Konkursowe, jeśli przynudzam. Ale ja właśnie chciałam na odwrót. Rozweselić was trochę, i to nie odbiegając od najprawdziwszej prawdy, także tej z aktualnej rzeczywistości. Przecież czytać musicie rzeczy straszne. Inni uczestnicy konkursu pewnie nagromadzą ogrom nieszczęść i cierpienia. A ja miałam wtedy tylko lat... 4. I wielce byłam chroniona przez kochającą rodzinę.

Wiem, że muszę wrócić do tego „job...”.

Otóż, gdy to wykrzyczałam powtarzając za tawariszczem, zobaczyłam wielkie, zdumione oczy i zamarłe twarze mej rodziny.

„Aha, zrobiłam coś złego!” – pomyślałam, zwłaszcza, że ból zaczął mnie opuszczać i nie mogłam czuć się usprawiedliwiona cierpieniem i fizycznym odrzuceniem.

„Teraz czeka mnie chyba tęgie lanie – co ja zrobiłam? Znów powiedziałam coś niestosownego, jak ongiś, gdy przy Niemcach miałam mówić ich językiem, a nie w tym, którym mówi się w domu, i za to postawiono tatuśka pod ścianę i...”

Ojej, lanie od mamy będzie o wiele gorzej niż od tego Ruska, bo zrobiwszy mamie przykrość... bo moja wina! Ale mama nie uderzyła. Ani nikt z braci. Siostry też. A przecież tak często lubili pokazywać swą przewagę fizyczną wynikającą z faktu starszeństwa.

– Cóż ja takiego zrobiłam? Co jest? Co to? Pamiętam do dziś swą dziecięcą rozpacz, ów paraliżujący lęk, swój strach odbijający się aż w 14. oczach moich bliskich, to ich wielkie zdziwienie i oczekiwanie, co teraz będzie? Dlaczego oni tak na mnie patrzą? Jako pierwszy ozwał się tawariszcz: Ale kłamaliście! Chcieliście tym kłamstwem zyskać moją przychylność? Ten bachor wcale nie jest nienormalnym niemową, teraz dopiero będę bez litości...

Ale mama jakby tego nie słyszała. Z nadal bardzo otwartymi oczami a także ustami nagle padła na kolana. Za nią zrobili to pozostali domownicy. Wszyscy mieli złożone ręce i popłynęło: „Ojczy nasz, któryś jest w niebie...” Co? Tatko już w niebie? – pomyślałam, bo przecież modlitwy musiałam odmawiać głośno w innym języku. Zdrowaś Mario... Aniele Stróžu... i wtedy powoli, powoli zaczęłam sobie przypominać teksty modlitw, jakie odmawialiśmy aż do tragicznego dnia, kiedy tatusia postawiono... Od tamtej chwili mówiliśmy pacierze wyłącznie po niemiecku.

Matka nie wstając z klęczek podniosła ręce bardziej w górę. – O dzięki ci, dzięki, o Wszchemogący, dziękujemy ci... Uratowałeś nam...

– Ojej, trzeba będzie zaraz iść do łóżka, a przecież to jeszcze nie wieczór – zmartwiłam się, skoro mówimy już paciorem, to trzeba będzie iść spać – pomyślałam zdumiona, nieświadoma owej wielkiej radości jaką wywołało moje, z bolesnego kopnięcia zrodzone, powtórzenie skierowanego uprzednio do mnie „A job...”.

Nie pomnę już dziś co było dalej, nawet zapytać już nie mam kogo. Nie żyją już rodzice, nawet brat już umarł, ale pośród rodzinnych opowieści ostały się wspomnienia, że zdezorientowana tym wydarzeniem nadal nie mówiłam wprawiając tym w wielkie zmartwienie rodzinę, przyjaciół i krewnych. Potem, odpowiadałam na pytania i to o dziwo w języku w jakim je zadano. Nie mówiłam nic z własnej inicjatywy, a już absolutnie milczałam przy obcych. Syndrom symptomów nerwicowych nie ustępował, w niesprzyjających okolicznościach objawy nasilały się, ale już zrodziła się nadzieja...

Kiedy już zaczęłam mówić zupełnie swobodnie i znikła obawa przed tym, iż będę niemową, pojawiło się nowe nieszczęście.

Ludzie wokół zaczęli mówić: to dziecko szyluje. Absolutnie nie wiedziałam o co chodzi. Byłam coraz bardziej nieszczęśliwa wskutek tego „szylowania”, a w pamięci mej zachowały się epizody z podróży aż

do Bydgoszczy, do specjalisty, bo nikt ani w Czersku, ani w pobliskich Chojnicach się mną zająć nie mógł.

I trafić chciałam, iż właśnie w dniu 1 sierpnia 1998 roku musiałam być w Bydgoszczy i stanął mi dzień ten przed oczyma. Nie wiedząc jeszcze o zaproszeniu do konkursu, pomyślałam o tym, jak to wtedy bardzo chciałam zobaczyć ruch, zgiełk wielkiego miasta i w tym celu weszłam na... krzesło. Zostałam ostro skarcona i pouczona. Płakałam, że nie pozwolono mi patrzeć przez okno na ten inny świat. Zalałam się łzami, gdy pan w białym kitlu nałożył mi okulary na nos i odtąd miałam z tym chodzić na zawsze. Minęły lata, podczas których miałam okazję wielce wzbogacić swą empirię o ułomnościach ludzkich, o empatię dla wszystkich odmieńców, okularników, krzywych i garbatych. Zrozumiałam co znaczy cierpieć „za niewinność”, poznałam jak świat dziecięcy może być okrutny, zupełnie niezrozumiałe, niezasłużenie, ale też zgoła nieświadomie.

Minęło wiele lat zanim mogłam dowiedzieć się jak w tym zakresie dotknęła mnie wojna. Otóż będąc w maju 1978 roku w sanatorium w Kudowie zmartwiłam się srodze, kiedy nie zaordynowano mi borowiny. Żal swój zgłosiłam lekarzowi, a ten rzekł: „borowina już pani nie pomoże, jestem okulistą, proszę przyjdź do mojego gabinetu. Poszłam, pytam o „zeza”, bo zezowaniem było moje „szyłowanie” jak z niemiecka zastępowano niektóre słowa. Zrobił mi wykład. Pan mówi o mechanizmach zeza a mnie interesuje etiologia tego zjawiska.

– Stresy, tylko stresy – rzekł rozkładając ręce, a głos jego brzmiał, jakby mówił o czymś nader oczywistym.

I wtedy to znów ujrzałam ów mur, ścianę, pod nią zrozpaczonego ojca, lufy karabinów i przenikliwy krzyk rozpaczliwej matki, trzęsące się ze strachu rodzeństwo i moje ostatnie przed długotrwałą niemotą słowa: So nicht, so nicht, das ist mein Vater, so nicht...

Kto był temu winien? No ja, tylko ja. Nie potrafiwszy rozróżnić (co doskonale robiło moje starsze rodzeństwo) kiedy można mówić po polsku, a kiedy należy po niemiecku, mówiłam do hitlerowców w znieawidzonym przez nich języku, wkopując tym rodziców.

Ile jeszcze razy przyjdzie do mnie moje wojenne dzieciństwo – myślałam w Bydgoszczy.

To ja chciałam umrzeć. Może dlatego po latach, kiedy w szkole recytowałam wiersze, podobno najbardziej przejmująco i najpiękniej omal wykrzykiwałam fragment: moje serce ma lat 20 i 20 kul pomieści.

Bo istotnie. Chociażbym nie wiadomo jak sobie postanawiała, iż nie będę pamiętać o tym koszmarze dzieciństwa, chociażbym rzeczywiście o tym zapomniiała pochłonięta aktywnym życiem młodzieży, zawsze kiedyś dochodziła do tego fragmentu, stawał mi przed oczyma ów obraz i identyfikowałam się na nowo, już nie z ojcem, który za chwilę paść ma trupem u naszych stóp, już nie z matką, która darła włosy z głowy i cicho szlochając błagała w... najczystszej niemczyźnie o uniewinnienie. Informowała też rozwścieczonych hitlerowców, iż najmłodszą córeczkę także nauczyła języka Goethego, Schillera, Heinego a teraz owdowiejąc czym nakarmi wieczną głodną siódmąkę drobiazgu?

Stawały mi też przed oczyma pełne przestraszenia, ale też i złości wylęknione oczy sześciorga rodzeństwa. Siostry i bracia stali rzędem przy mamie zupełnie bezbronni, ale jakby chcieli siłą swej dziecięcej woli powstrzymać karabiny oprawców, jakby pragnęli mające stamtąd za chwilę wylatujące naboje skierować w inną stronę. Aby stał się cud, aby trafiły gdzie indziej, ale nie w naszego tatę. Gdzie indziej – to już dla 4-letniego dziecka znaczyło – nie w kogoś innego – bo życie każdego Polaka trzeba chronić. Oni wszyscy mają swoje rodziny.

Kiedyś podczas szkolnych występów nagle przestałam recytować, uciekłam z łkaniem ze sceny i nigdy już na nią nie powróciłam. Dlaczego? Zdumieni nauczyciele i młodzież nie wiedzą do dziś. Otóż na widownię wszedł ktoś w mundurze. Nie pomnę w jakim. Mógł to przecież być gajowy, leśniczy, kolejarz... Ale dla mnie był hitlerowcem... I postanowiłam, że już nigdy publicznie nie zabiorę głosu.

Do recytowania poezji wróciłam nauczając polskiego w poprawczaku, dziewczyny słuchały ze łzami a ja zmieniałam tekst wierszy wydobywając z nich treści resocjalizujące i psychoterapeutyczne.

Ponieważ uświadomiłam sobie, iż ojca postawiono pod ścianę dlatego, że „mówiłam nie pytana i to jeszcze w języku polskim” nigdy już nie potrafiłam zabrać głosu „nie pytana”. Nawet profesorowie uczelni nie mogli zrozumieć, dlaczego nie zabieram głosu w dyskusjach a „wyciągana” do odpowiedzi błyszczącą erudycją. Zdziwiający też był mój opór do nauki języków obcych, nie muszę dodawać, zwłaszcza niemieckiego, którym posługiwałam się doskonale i nagle... zapomniłam.

„Samowolnie” zabrałam głos publicznie dopiero w... 1989 roku, ale i wtedy stało się coś, co zakneblowało mi usta na długo. Gdzie szukać odtrutki na krzywdy wojny?

„Aniele Boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie...” Ale on już nie stał. Odfrunął gdzieś daleko. Bo potem, gdy i ja już wyfrunęłam z rodzinnego gniazda, przeróżne, mądre „autorytety naukowe” na wiele lat uczyniły mnie ateistką. I to wojującą! I próbowałam zarażać wszystkich wokół swoimi przekonania-
mi, pardon, to nie były przecież przekonania, tylko narzucona mi wiedza i nakazane poglądy. Ale muszę przyznać, że bawiły mnie te uczone dyskusje światopoglądowe. Dlaczego? Otóż było to dla mnie doskonałym ćwiczeniem erudycyjnym i oratorskim, gdy w towarzystwach mogłam wyklócać się o owe

prawdy naukowe i bawiło mnie to, gdy byłam raz po jednej, raz po drugiej stronie, czasem nawet używając tej samej lub podobnej argumentacji. Dyskutując z zażartymi ateistami wskazywałam na argumenty fideistyczne a przede wszystkim na to, że tyle jest jeszcze spraw nie zbadanych, więc nie wiemy czy po śmierci naprawdę nie pozostaje po nas nawet ciało astralne.

W dysputach z zagorzałymi katolikami a już w ogóle z naiwnymi dewotkami wystarczyło mi wskazywać na kompromitujące wydarzenia historyczne w obrębie Kościoła Katolickiego, prowadzenie się księży, ich pazerność w kierunku bogactwa, usiłowanie zbijania majątków nawet na krzywdzie ludzkiej. To wystarczyło, nie musiałam sięgać do teorii Oparina, Miczurina i Darwina..., by udowodnić powstanie życia na ziemi.

Wojenne dzieciństwo moich roczników przyszło do mnie nawet pośród beztroski pierwszych studenckich lat. Jesienią 1960 roku mieszkałam w 15-osobowym pokoju na Szpitalnej w Toruniu. Z piętrowego łóżka przeprowadziła się na dół Hanka. Ze zdumieniem zauważyłam, że codziennie ze stołówki przynosi kromkę chleba i... kładzie ją pod łóżko. Nie zjada ich potem tylko... wymienia na nowe. Zdumiona stworzyłam odpowiednią atmosferę i zapytałam: po co to?

– Aby nie zabrakło – odrzekła.

– Jak to zabrakło? – pytam.

– No, jak nie będzie jedzenia, to będę miała swoje – wyjaśniła.

– Jak to, nie będzie? Przecież stołówka jest stale czynna, codziennie wydają nam posiłki...

– No, ale jak zabraknie... to będę miała. – Spojrzała tak inaczej. – Już nigdy nie chcę być głodna...

Nie pomogły moje tłumaczenia, że w stołówce jedzenie będzie zawsze, że na studiach nie będzie głodna, tym bardziej, że wtedy dla studentów wszystko było bezpłatne.

Kto raz doznał dojmującego głodu będzie się go bał zawsze. Hanka poszła tylko na takie ustępstwo, iż przestała ów chleb magazynować wprost na podłodze pod łóżkiem, poinstruowana o szkodliwości zarasków mieszczących się w brudzie, uwierzyła w to i zaczęła pod swoje „zapasy na wojnę” podkładać... gazetę.

Dalekosiężne macki wojennego głodu Polaków sięgnęły aż na Wyspy Brytyjskie. Odwiedziwszy bohaterów Brygady Podkarpackiej wslawionych w walce o Narwik, zdumiałam się zapachem płynącym z jednej z szaf.

– To, to, no dawno pewnie nie zmieniałem zapasów.

– Jakich zapasów? – zapytałam.

– Ty, dziecko, wojny nie przeżyłaś, to nie wiesz, nie potrafisz nawet nas zrozumieć, nie wiesz co to głód i jakie pozostawia spustoszenie w psychice?

– Zapasy żarcia zamiast psychoterapii? – wyrwało mi się zgoła złośliwie.

– To tak na wszelki wypadek. Zawsze musi coś w domu być, gdyby... Wy młodzi inaczej patrzycie na wojnę. Wy baby za mundurem panny sznurem... a ja mam wstręt do munduru. Każdego.

– Ja też – odrzekłam.

Nawet sobie tego w pełni nie uświadamiałam. Miałam kiedyś adoratora, oficera WP, był naprawdę bardzo przyjacielski i dość mi bliski. Akceptowałam go całkowicie, podziwiałam osiągnięcia w pracy, ale zawsze prosiłam, by o ile to możliwe, chodził w „cywilaczkę”. Kiedyś przyszedł w mundurze, nie przeszkadzało mi to, ale kiedy zniemacka mnie do siebie przytulił i szeroko otwartymi oczyma przywarłam do strasznie „chłodnego psychicznie” munduru, nagle wydał mi się obrzydliwy. Polski przecież mundur! Na ciele ukochanego mężczyzny! Krzyknęłam, odepchnęłam go brutalnie i... uciekłam. Odmawiałam wszelkich spotkań. I co on mógł o mnie pomyśleć?

Oto jak rozstają się ludzie. Nic o swych motywacjach nie wiedząc, obwiniają się potem wzajemnie. Wyznanie mu prawdy wydawało mi się głupie. Pewnie uznałby za nieprawdę. Nie zaakceptowałby mojej nadwrażliwości. Przecież warstwa intelektualna mojej osobowości traktuje wojsko normalnie. Ale te nerwy?

– Nerwy też każą mi być przygotowanym na wojnę.

– Tu w Londynie boicie się o brak jedzenia? Toż to irracjonalne!

– No, gdyby wybuchła wojna? – rzekł Stanley Barnett.

– To wy nie wiecie o tym, że gdyby jakiś szaleniec (a przecież głównie tacy rządzą światem) nacisnął na „wajchę” jakiegoś pershinga, to w jednej minucie nas nie ma i po co zapasy jedzenia?

– Tak, dziecinko, masz rację, ale ty nigdy nie zrozumiesz nas, weteranów wojny, którzy do dziś pokutujemy na obczyźnie.

– Rozumiem, rozumiem, mnie od śmierci głodowej uratowała... koza – zaczęłam snuć swe wojenne wspomnienia, ale on już tego nie słyszał. Zagłuszył je łoskot wyrzucanych zapasów „na wojnę”.

– Jutro kupię nowe – rzekł. – My tu mamy tę przewagę nad wami, że stać nas na to, aby stale wymieniać...

– CZŁOWIEKA też wymienisz?

– Też.

– Zmienisz, chciałeś rzec, wychowasz, udoskonalisz, rozwiniesz osobowość...

– Nie wiesz dziecko, jak wymieniano ludzi podczas wojny. Tobie się tego nie mówiło, byłaś za smarkata. A jak naprawdę było z twoim ojcem i tą piękną Żydówką, wiesz?

– Mój tata miał romans?

– Nie, (choć kto go tam wie) ukrywał Żydów przed Niemcami. I za to go... Ale przecież tobie nie można było nic powiedzieć, bo wypaplałabyś i to jeszcze w języku, jaki był na Pomorzu – gdzie był szczególny terror – zabroniony. Zazdroszczę ci, że jesteś wolna od koszmaru wspomnień wojennych. Co ty wiesz...

– Co ty wiesz o moich wspomnieniach bolesnych – pomyślałam, ale nie wypowiedziałam. Zdobyłam się tylko na wyznanie: poruszyłeś nie tylko mą wyobraźnię, ale zamiast wyciągnąć zadrę z serca wbiłeś ją jeszcze głębiej, a naruszając zablźnienie powiększyłeś ranę. Po 50. latach miały zostać otwarte wszystkie archiwa... Odpowiedz, proszę, chociaż na kilka pytań.

– Usiądź bardzo wygodnie, rozluźnij się, a przede wszystkim obiecaj, że nie będziesz ryczeć, a ja ci odsłonię część prawdy...